



BARBARA KWINTA

Little

**BLACK
DRESS**

*Czy jedna sukienka może zmienić
życie? Ta historia mogła przydarzyć
się także Tobie!*

L I R A
WYDAWNICTWO

Little
BLACK
DRESS

BARBARA KWINTA

Little
BLACK
DRESS

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68342-14-7

*Czerń może pożerać światło albo sprawić,
by coś wyglądało wyraziście. Ale ponad wszystko
czern mówi: „Ja nie przeszkadzam tobie,
ty nie przeszkadzaj mnie”^{*}.*

Yohji Yamamoto

* Tłumaczenie z języka angielskiego – autorka (wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

*Dla Jana.
Dżentelmena, krawca i mędrca,
który stał się moim dziadkiem.
Do zobaczenia kawatek za Tenczynkiem.*

PROLOG



Szwendam się po uliczkach Porto. Bruk schnie po nocnej ulewie. Błękitne kafelki zdobiące fronty kamienic błyszczą w słońcu. Na sznurku piętro nad sklepem rybnym falują pieluchy i śpioszki. Nortada. Północny wiatr znad oceanu.

Skręcam w prawo. Witryna cukierni „La Borboleta” kusi babeczkami z budyniem waniliowym — pastéis de nata. Łaciate koty wygrzewają się przy wejściu. Obok knajpka z ogródkiem w cieniu eukaliptusów właśnie otwiera się dla pierwszych gości, a ja niemal czuję zapach gęstej kawy z mlekiem i cukrem. Zaraz za tą knajpką, może dziesięć metrów, jak zwykle ona — pani w podomce. W ręku trzyma klatkę, a w niej pierzastego koguta.

— Dzień dobry.

(Zawsze mówię jej „dzień dobry”).

Nie widzi mnie. Jest zajęta, musi pilnować koguta.

Idę dalej. Za kioskiem skręcam w lewo. Dziś w Porto piętnaście stopni Celsjusza. Popołudniu ma padać. Słońce weszło o siódmej pięćdziesiąt sześć i zajdzie o siedemnastej dwadzieścia dwie.

Przesuwam się w Google Street View coraz dalej i dalej.

Jeszcze tylko kilka dotknięć palcem po ekranie i będę na plaży. Mam tam swój głąz, za którym się chowam.

Po drodze kupię sok pomarańczowy w barze pod słomianym dachem, za rogiem, przy wypożyczalni leżaków.

Nortada przegania turystów. Mam plażę tylko dla siebie. Siadam przy głązie, wygrzewam twarz, gapię się na ocean. Wysuwa się i odsuwa jak chłopak, który chce podejść, ale się wstydzi.

Spędzam tu jeszcze kwadrans. Wreszcie odkładam telefon i wdycham rześkie, poranne powietrze. Drobinki pyłu sprawiają, że się krztuszę. Naciągam rękawy bluzy na dłonie i patrzę w dół. Dwadzieścia pięć metrów w dół.



1.

HASŁO I NAZWA UŻYTKOWNIKA

Kraków, 25 marca, środa, 9:00

Siedziałam na najwyższym dachu świata. Przynajmniej mojego świata. Osiem pięter to może nie jest Burj Khalifa, ale widać stąd całe osiedle, a w oddali autostradę. No i mam tu darmowy internet. Sto osiemdziesiąt megabitów na sekundę.

Idioci z ostatniego piętra wykupili najdroższy pakiet, a w ciągu dnia i tak nigdy nie ma ich w domu. Mogę korzystać, czekając, aż miasto odzyska drożność.

Pewnie spytacie, dlaczego nazywam obcych ludzi idiotami. Sami zobaczcie: nazwa użytkownika — „admin”, hasło — „1234!”.

Mogli chociaż dodać małe i duże litery. Do tego kupili husky’ego. Pies zaprzęgowy na czterdziestu metrach kwadratowych. Gdzie on będzie biegał? Na kołowrotku?

Mówiłam. Idioci. Mam dwadzieścia cztery lata, ale znam się na ludziach. Obserwuję. Tu, z dachu, wszystko widać. Ludzie się rodzą, idealizują rodziców, dorastają, obwiniają rodziców o własne błędy, budzą się z ręką w nocniku, bo dociera do nich, że są tacy sami jak mama i tata, żałują, że całe życie się zaharowywali, nie podróżowali, nie żyli tu i teraz, nie poświęcali czasu dzieciom, które w międzyczasie

dorośli i właśnie zaczynają ich obwiniać o własne błędy, wreszcie chorują i umierają. Ci pierwsi. Ci drudzy zresztą też. Grabarz wbija łopatę w ziemię, a koło życia kręci się dalej.

Polecam patrzenie z góry. Szczególnie jeśli czegoś szukacie. Na przykład sensu życia.

Jak znalazłam się na dachu? Przygotujcie się, bo ta historia to thriller.

Tego dnia nic szczególnego się nie działo. Szare przedpołudnie. Takie, jakich wiele w grudniu na krakowskim osiedlu przykrytym kołderką smogu. Facet z administracji (nazywam go Paszczak) wsa-dził pęk kluczy do płytkiej kieszeni drelichowych ogrodniczek. Klucze wypadły na posadzkę, prosto pod skrzynki na listy. Paszczak memłał papierosa i gadał przez telefon. Nie zorientował się. Szłam trzy metry za nim. Zobaczyłam, podniosłam...

Tadam!

Weszłam w posiadanie klucza do kanciapy na strychu, a stamtąd lichą drabinką sześć szczebli w górę. I już.

Najwyższy dach na świecie. Przynajmniej moim świecie.

Mówiłam, że ta historia powala.

Tak, wiem, po siódme nie kradnij, ale uznałam, że Bóg tak chciał. Paszczak jakoś sobie poradzi, a ja wreszcie będę mieć swój kawałek podłogi. Na dachu.

Nie martwcie się, nie jestem bezdomna. Od siedmiu lat mieszkamy w tym bloku we trójkę. Ja, dziadek Kornel i Parkinson. I jakieś trzysta zegarków. Trzecie piętro, ostatnie drzwi po lewej.

Na drzwiach dziadek napisał kredą „B.M.W.”. Sąsiadki twierdzą, że to Bartek, Melchior i Waltazar, ale dziadek po prostu zawsze lubił szybkie samochody. W młodości dorobił się poloneza, który teraz zarasta chwastami na naszym osiedlowym parkingu, koło śmietnika.

Mój pokój nazwałam niepokojem. Wcześniej mieszkała w nim moja mama. W jej dawnej szafie trzymam swoje ciuchy, a na jej starym łóżku śpię. Tylko biurko kupiliśmy z dziadkiem nowe. Tamto miało wyryte na blacie wielkie serce, a w środku „A + M = WM”. Agatka plus Mati równa się wielka miłość. Takie było założenie. Rodziców dopadło jednak koło życia, a ja nie miałam ochoty patrzeć na to serduszko za każdym razem, kiedy siadałam do lekcji.

Zresztą teraz nie odrabiam już lekcji. Jestem dorosła, na co dzień unikam koła życia, zawodowo ścinam głowy, a biurko służy mi głównie do ustawiania na nim pięterek z tych dresów, które nie są jeszcze brudne, ale nie są już czyste. Dobrze wiem, że też macie takie zakamarki. Fotel w sypialni? Kąt w łazience? Hmm?

Dochodziła dziewiąta czterdzieści. W Porto ludzie właśnie kończyli swoje obrzydliwie słodkie śniadania i dopijali kawę z mleczną pianką. Ja dopiłam swoją obrzydliwie zimną herbatę i zesłam pięć pięter w dół. Do dziadka.

Kornel stał przed lustrem w wąskim jak szpara między zębami korytarzu. Układał włosy przed wyjściem po grahamkę. Gładził je na jedną stronę i zipał przy tym jak zastany polonez. Od jesieni prawa ręka drżała coraz bardziej i teraz musiał się niezle napocić, żeby grzebień nie wypadł mu z dłoni.

— Dziadku, a kwasy omega? — spytałam, sprawdzając zielone pudełko na leki.

— Dziś jem rybkę u Bożenki, nie muszę. Bożenka mówi, że ryby są bogate w te całe omega.

— Jaką rybkę? U jakiej Bożenki? — Zgarnęłam plecak, wrzuciłam do niego bułkę z pasztetem i przecisnęłam się w stronę wyjścia.

— Panierowaną, u Bożenki z baru mlecznego na Turniejowej. Zabiorę cię tam w niedzielę na schabowego z kapustą.

— Dobra, rozumiem. Chodzi o Bożenkę. — Uniosłam brwi, a na białych policzkach dziadka pojawiło się trochę różu. — Nie za dużo tej brylantyny? — spytałam.

Kornel przyjrzał się przylizanej fryzurze w odbiciu w lustrze.

— Jest elegancko, dziecko. Babcia tak lubiła. — Poprawił płaszcz i schylił się po pastę do butów. Dziadek był ostatnim człowiekiem na ziemi, który układał włosy, i pastował buty przed wyjściem do spożywczaka.

— Pamiętaj o czapce. Jest dziesięć stopni. W Krakowie. W Porto wystarczyłby słomkowy kapelusz. — Ostatnie zdanie mruknąłam już do siebie.

Dziadek nie wiedział o moim długofalowym planie emigracji na południe.

Wymuskany założył na siwą głowę wełniany kapelusz przewiązany paskiem. Już, już miałam go zrugać jak własna matka, całe uszy na wierzchu, ale wtedy usłyszałam warkot silnika. Autobus. Przekleństwo mieszkania przy pętli. Zawsze ci się wydaje, że zdążysz.

— Fuck. Fuck. Fuck. — Zerwałam się biegiem. Miałam dwie minuty.

2.

PANTEON

Kraków, 25 marca, środa, 10:05

Woń skisłych skarpetek mieszała się z zapachem spalin, tworząc broń biologiczną masowego rażenia. Nałożyłam kaptur na głowę, zmarszczyłam nos,

wbiłam wzrok w swoje ubłocone buty i trwałam w oczekiwaniu na przystanek.

Żeby nie paść na twarz przy kolejnym zakręcie, chwyciłam się gumowego uchwyty przytwierdzonego do metalowej tralki. Dyndałam teraz jak maskotka na straganie między grupą nastolatków z przerośniętymi tornistrami a starszyzną z torbami na zakupy. Do przodu, do tyłu. Zakręt, przystanek, zwężenie jezdni, bo dawno nie było remontu, światła, przystanek, rowerzysta przed nami, korek, wiadukt, znowu światła.

W Porto wszystko wyglądałoby inaczej. Ludzie nie noszą skarpetek, bo jest ciepło, zamiast warczących autobusów są tramwaje bez spalin, a w powietrzu unosi się kwiatowy zapach.

Wreszcie hamulce pisnęły, drzwi otworzyły się z trzaskiem, a ja znalazłam się tuż przed pawilonem handlowym „Panteon”. Mimo moich codziennych afirmacji, by cały budynek wyparował, rząd lokali usługowych z lat dziewięćdziesiątych stał na miejscu jak żołnierze blokujący mi drogę do szczęścia.

Poprawiłam szelkę plecaka, minęłam biletomat, młodą matkę tłumaczącą dziecku, że cukier to biała śmierć, i szczerbatą ławkę, na której nikt nigdy nie siadał. Tylko dlatego, że nie miała jednej deski.

Trzy minuty po czasie weszłam do „Atelier fryzur AnBar” w rytmie marszu pogrzebowego, który

codziennie o tej porze wygrywała moja prawa półkula. Tam tam taram, tam tam tam tam tam tam tam.

Wytrzępałam buty, powiedziałam „dzień”, wiadomo, że nie dobry, i zanosłam plecak z drugim śniadaniem na zaplecze.

— Kawusi na dobry początek?

Znajomy męski głos za plecami sprawił, że zadrżałam. Nie w ten przyjemny sposób, w który się drży, słysząc Wojciecha Manna.

Bartek, barber i współwłaściciel salonu, tfu — atelier fryzur, był jedną z tych osób, które nie wiedziały, kiedy zostawić człowieka w spokoju. Dobrze, że nie mieszkał na moim osiedlu. Tam za taki brak taktu groziło spotkanie z maczetą.

Na swoje szczęście mój szef mieszkał pod miastem, miał dom z surfiniami na balkonie i miłych rodziców, którzy otworzyli dla niego i jego siostry Anastazji szykowne atelier fryzur (AnBar to nie przypadek).

Bartek był miły. Jak koc z poliestru. Niby miękki, ale po zbliżeniu człowiek się poci, drapie i nie ma czym oddychać.

Zupełnym przypadkiem już trzeci raz w tym tygodniu przywitał mnie „kawusią”.

Trzymał w rękach dwa kubki czegoś, co automat nazywał americano, a co było po prostu letnią wodą

zabarwioną czarnym brudem z rur z odrobiną kofeiny.

„Kawusi na dobry początek?”

— Na dobry początek? — spytałam, nie przestając mruznąć oczu. — Czego?

Kierowca autobusu zamknął mi drzwi przed nosem, musiałam biec dwa przystanki, jedną ręką trzymając plecak, drugą piersi, a potem trwać w puszcze ze skisłymi skarpetkami. Czy to był dobry początek czegokolwiek?

Tak czy siak kawa, nawet lura, nie powinna się zmarnować. W końcu jesteśmy w Krakowie. Przyjęłam kawusię. Niech nie myśli, że jestem niewdzięczna.

— Twój klient się spóźni, usiądź i pij sobie bez pośpiechu.

Bartek przysunął w moją stronę fotel obrotowy wyściełany fioletową ekoskórą. Poprawił swoją wygłaskaną brodę przechodzącą nad ustami w podkręcony wąs i zajął się rozkładaniem stanowiska pracy. Zdezynfekował nożyczki, wyczyścił pędzle, policzył jednorazowe peleryny i przygotował swój autorski zabieg „ciepła szmata”. Polegał na wymoczeniu w misce z wodą szmaty i zarzuceniu jej na twarz klienta.

Bardzo zajęty szef zerkał na mnie, jakby chciał się upewnić, że widzę, jaki jest pracowity. Chyba zaraz wpiszę mu wzorowe zachowanie do dzienniczka.

— Dobra pogoda na kino i kolację na mieście, co nie? — zagaił.

Łyknęłam kawy i udałam, że nie słyszę ani tego osłoniętego welonem subtelności zaproszenia na randkę, ani kończącego zdanie, okropnego „co nie?”.

— Nowy Bond podobno bije tamte na głowę.

— Jest agentem wywiadu. Przemoc fizyczna, w tym bicie, to część jego pracy. — Kręciłam się na fotelu i wyobrażałam sobie, że to karuzela w Porto.

Bartek w końcu złapał żart, zaśmiał się, choć brzmiało to jak krztuszenie, a kiedy skończył, zarekomendował nawet jakąś przytulną kawiarenkę niedaleko kina Kijów. Od tygodni był jak dodatek kulturalny do „Gazety Wyborczej”. „Doskonały spektakl w Teatrze Stu”, „Kameralna pijalnia czekolady przy Rynku”, „Polskie Malediwy na południu miasta”, „Wielkanocny targ na Podgórzu”. Z całych sił próbował wydostać się z szuflady z napisem „upierdliwy szef” do innej. Wyższej. Takiej, w której trzyma się ballady i romanse.

Ale może tylko tak myślałam, by polechtać ego? No bo sami oceńcie: rozciągnięta bluza ze spranym napisem „Space Station”, brązowy plecak zwisający z ramienia jak zdechłe zwierzątko, mysie włosy zebrane w kołtun na karku. Szpara między zębami też nie wpisywała mnie w algorytm „hot”. Jego broda była bardziej wypielęgnowana niż cała ja i jedyne,

co nas łączyło, to słabość do kawy i zespołu Modern Talking. Trochę za mało na budowanie romantycznej relacji.

Nim Bartek zdążył zapytać: „To jak? Jutro? Po pracy?”, a ja zdołałam się wykręcić: „Niestety, jutro idę z dziadkiem do lekarza”, do atelier wkroczył siwobrody mężczyzna. Usadowił się na fotelu w oczekiwaniu na „ciepłą szmatę”. Mogłam odetchnąć.

Na trzech stanowiskach pracowały już pozostałe fryzjerki. Anastazja — siostra Bartka, Sandra — ta jedna, która wie, co robi, i praktykantka, tak wystraszona, że wolałam jej nie traumatyzować pytaniem o to, jak ma na imię. Czekając na klienta, patrzyłam, jak suszą, modelują i nakładają farbę anonimowym głowom. Patrzenie, jak inni pracują w pracy, było przyjemniejsze niż pracowanie w pracy. Mogłam tak patrzeć i patrzeć... i słuchać...

Nie wiem, czy uśpił mnie szum suszarek, czy toksyczna ilość ekstramocnego lakieru do włosów, która sparaliżowała mój system nerwowy, ale kiedy otworzyłam oczy, Anastazja stała nade mną z rękami założonymi na piersiach, wskazując smukłym nosem na stanowisko przy oknie.

— Już, już. — Zerwałam się z krzesła, chwyciłam foliową pelerynę i zarzuciłam ją na szeroki kark pana Sebastiana, który od trzech lat przychodził w co drugi czwartek na „równanko”.